

BIELECKI

Wspomnienia Karola Bieleckiego – jednego z najwybitniejszych i najbardziej rozpoznawalnych zawodników w historii polskiej piłki ręcznej. To inspirująca i motywująca opowieść o człowieku, który przez ponad dwadzieścia lat uprawiał sport na najwyższym światowym poziomie i mimo przeciwności losu nigdy nie dawał za wygraną. Pasjonująca historia wzlotów i upadków, radosnych triumfów i bolesnych porażek. Kiedy w 2010 roku w trakcie meczu z Chorwacją stracił oko, wszystkim wydawało się, że to koniec jego pięknej kariery. Na przekór wszystkim i wszystkiemu wrócił jednak do gry i jeszcze przez wiele lat był podporą reprezentacji Polski oraz swojego klubu.

PARTNER STRATEGICZNY



Podążaj za Marzeniami
BEZ WZGLĘDU NA WSZYSTKO

ATRONI MEDIAJNI

ZEGŁAD
ORTOWY

handball.pl

MBP Cieszanów
Wojownik /



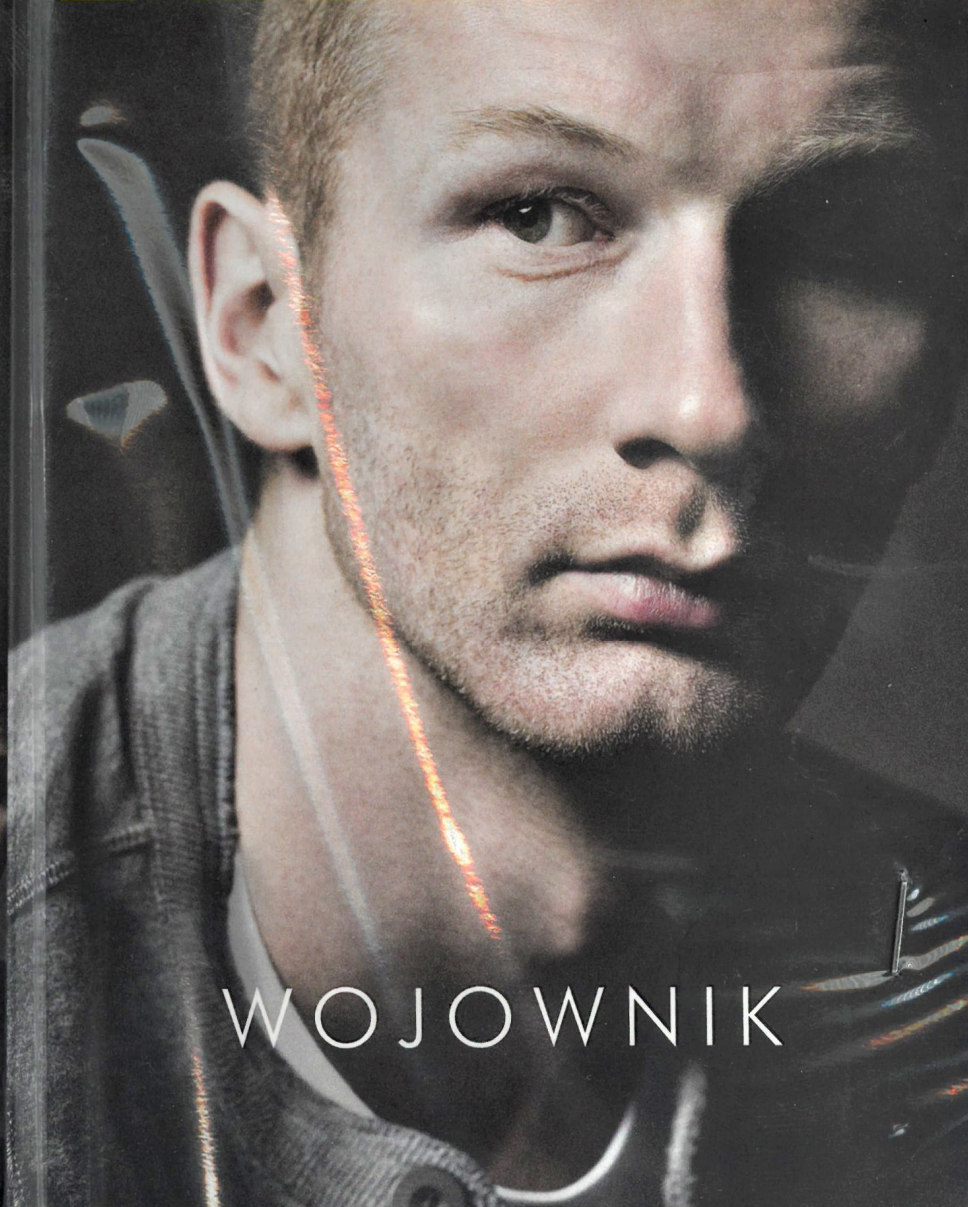
0000027680

KAROL
BIELECKI

WOJOWNIK



BIELECKI



WOJOWNIK

Jurkiewicz dodał z kolei później, że najbardziej bolą nas gołe szyje, bo brakuje na nich medalu. Zajęliśmy czwarte miejsce, osiągnęliśmy najlepszy wynik w historii startów reprezentacji Polski w mistrzostwach Europy, ale nikt się nie cieszył.

Wracaliśmy do kraju bez medalu, a jednak witały nas tłumy. Myślałem, że nikt nie przyjdzie, a jednak ludzie dziękowali nam za walkę. Później przyjął nas prezydent Lech Kaczyński i też dziękował. Nie wiem, ilu sportowców zdążył jeszcze po nas przyjąć. Nieco ponad dwa miesiące później zginął pod Smoleńskiem w katastrofie lotniczej.

Każdy sukces kończy się spotkaniami z ważnymi ludźmi. Lech Kaczyński przyjmował nas pierwszy. Nie wiem, jak dobrze orientował się w naszym sporcie, ale czułem się zaszczycony, gdy wręczał nam medale. Później byliśmy też u premiera Donalda Tuska, prezydenta Bronisława Komorowskiego i premier Beaty Szydło. Nie chcę się wypowiadać w sprawach politycznych, ale wszystkie te spotkania łączyło jedno – dawali całkiem dobre jedzenie. No i te medale. W sumie nawet nie wiem, ile razy nas odznaczali, bo nie wiem tego na ścianie i nie oglądam, ale orderzy odbierałem. Jakby kogoś interesowało jakie, można to sprawdzić w Wikipedii.

7.

A było tak pięknie...

Wróciłem do Niemiec. Szło mi bardzo dobrze. Cenili mnie, a ja robiłem swoje. W każdej wolnej chwili jechałem jednak do Polski. Wracałem i... wymieniałem samochód. Wszystko dlatego, że w Niemczech miałem umowę z Oplem, a oni chcieli, żeby oddawać samochód po przejechaniu pięciu tysięcy kilometrów. Fajnie, choć trochę dziwnie, a na dłuższą metę nawet męcząco. Nie to, żebym narzekał, bez przesady, większość chciałaby co chwila odbierać nową furę, ale wystarczyły mi dwa wyjazdy do Polski i znów musiałem jechać do salonu. Podjeżdżałem, a tam czekała już nowa vectra albo insignia. Trudno było w tych samochodach zostawiać jakieś swoje rzeczy, bo co chwila trzeba byłoby sprzątać i wszystko wynosić przed oddaniem.

Później klub miał umowę z BMW. Pojechałem do salonu, dostałem nową sztukę, seria 3. Gdy odbierałem to auto, pośmiałem się trochę z ludźmi w salonie. Wiadomo, istniało przecież dużo historii o Polakach, którzy kradli auta. Te w stylu: „Jeźdź do Polski, twój samochód już tam jest”. Wtedy jednak mówiliśmy raczej o tym, że już nie ma obaw i można spokojnie jeździć do Polski takim autem, bo dzikie czasy się skończyły. Pośmialiśmy się, pogadaliśmy, dopełniliśmy formalności, w końcu wziąłem kluczyki i pojechałem na zgrupowanie reprezentacji do Poznania. Dotarłem wieczorem i poszedłem spać. Rano poszedłem na śniadanie, a tam Grzesiek Tkaczyk pyta, czy przeparkowałem swoją furę, bo nie ma jej tam, gdzie stała wieczorem. Kiwnąłem tylko głową, bo myślałem, że znowu robi sobie ze mnie jaja, a ja byłem zaspany i nie chciało mi się wdawać w tę dyskusję. Tym bardziej że żartowali ze mnie i tego samochodu już wieczorem, więc nie robiło to na mnie wielkiego wrażenia. Niech się śmieją, tyle ich, ja chcę zjeść śniadanie. No i spokojnie to zrobiłem, a później poszedłem na parking przed hotel, żeby zabrać z samochodu buty, bo zostawiłem je na noc w środku. Podobnie jak dowód osobisty i kilka innych rzeczy. Tak jak wspomniałem, był wieczór, gdy dojechałem, i chciałem odpocząć, więc szybko ruszyłem do

hotelu. A teraz, po kilkunastu godzinach, stałem na tym samym parkingu mocno zdziwiony. Rozejrzałem się raz, drugi i... mojej beemki faktycznie nie było. Zniknęła! Grzesiek miał rację. Pamiętam, że stałem tam zdziwiony i patrzyłem na puste miejsce po moim aucie. Trudno było uwierzyć w to, co się stało. Później już szybka akcja, telefony i zamieszanie. Przyjechała policja, coś spisują, sprawdzają, aż w końcu pytają mnie o kolor samochodu. Niby proste, tylko że ja nie miałem pojęcia, jaki kolor miało moje nowe auto. Przecież odebrałem je kilkanaście godzin wcześniej! Chyba jakiś jasny. Mówię, że tak coś kojarzę, a oni patrzą na mnie dziwnie. Na pewno jasny? Tak, jasny, ale może jednak nie? „Panie, miałem go ledwie kilka godzin, nie przyglądałem się za bardzo, bo wziąłem taki, jaki mi dali” – tłumaczyłem się, bo naprawdę nie potrafiłem powiedzieć o tym samochodzie nic szczególnego poza tym, że chwilę wcześniej odebrałem go z salonu, wsiałem do środka, przyjechałem do Polski, a teraz nie ma go w miejscu, w którym został!

Później, kiedy wróciłem do Niemiec, chciałem znowu wrócić do opli. Mówiłem, że wydają mi się jakieś „bezpieczniejsze”, ale uparli się, że będę dalej jeździł beemką. Tym razem dostałem „piątkę”, ale tej mi już nie ukradli.

Żeby było zabawniej, tamta kradzież wydarzyła się na hotelowym parkingu strzeżonym, ale kiedy działa się „akcja”, ochroniarz akurat poszedł po herbatę. Był też oczywiście hotelowy monitoring. Oglądałem później na wideo zapis tego, co dokładnie robili ci cali złodzieje. Cóż, okradli mnie wyjątkowo nieudolni goście. Gdy już wykombinowali, jak odpalić samochód, to zaraz im gasł. Później nie mogli wyjechać z placu. Trochę jak kiepska komedia pomyłek, ale ostatecznie zakończona sukcesem. To znaczy ich sukcesem, bo ja miałem z tym sporo problemów i zamieszania.

Generalnie i tak nie mogę narzekać. Miałem kolegę, któremu ukradli auto trzy razy. Gdy grałem w „Lwach”, kradli z kolei nawigacje z samochodów. Chłopaki w klubie też jeździli beemkami, ale montowali sobie w środku modne wtedy zestawy do nawigacji satelitarnych. Za skradzione urządzenie trzeba było płacić jednak aż po półtora tysiąca euro.

Oliverowi Roggischowi, później menedżerowi niemieckiej kadry, ukradli nawigację trzy razy! W końcu mówi do mnie: „Kola, powiedz tym swoim kolegom z Polski, żeby dali mi już spokój!”. Odpowiedziałem w tym samym stylu, że jeśli jeszcze raz usłyszę taki żart, to będzie odwrotnie, pogadam z kim trzeba i znowu mu zwiną nawigację. Miało być zabawnie i wtedy w sumie było, bo się

pośmialiśmy, ale następnego Oliver dnia przyszedł do klubu i mówi, że... ukradli mu nawigację po raz czwarty. Później okazało się, że akurat za tymi akcjami z nawigacjami stała jakaś turecka banda złodziei.

Grzesiek Tkaczyk z kolei miał fart. Mieszkał w szeregowcach, między dwoma innymi piłkarzami. Tamtych dwóch okradli, a Grześka zostawił w spokoju.

Tak naprawdę nigdy w Niemczech nie spotkałem się z przykrościami z powodu mojego pochodzenia z Polski, ale żarty, nawet te naprawdę „grube”, się zdarzały. Wiadomo, męska szatnia to dość specyficzne miejsce. Zresztą inni mieli powody, żeby robić sobie z nas jaja. Koledze „Lijka” w Hamburgu też ukradli bmw. Wiecie, gdzie je znaleźli? Niestety, na granicy z Polską.

Pamiętam jedno z pierwszych spotkań w Niemczech. Zobaczyłem tam kartkę w ramce, na której spisał swoje cele. Pomyślałem wtedy, że musi być ktoś niesamowitym gościem, który stworzył coś takiego jako nastolatek i dekadę później dalej idzie tą samą drogą.

Nikt mnie nigdy nie pytał, dlaczego akurat my się tak dobrze dogadujemy. Znam Karola, to człowiek, który ma jasno sprecyzowane cele i robi

wszystko, żeby je osiągnąć. Ja z kolei jestem osobą, która czasami potrafi tonować jego emocje. Wydaje mi się, że ja jestem tym spokojniejszym, choć ktoś, kto patrzy z zewnątrz, mógłby w to nie uwierzyć. Wszystko dlatego, że Karol tłumi w sobie emocje, a ja – szczególnie na boisku – potrafiłem je okazywać.

Sławomir Szał, bramkarz reprezentacji Polski,
przyjaciel Karola Bieleckiego

Klubowy sezon 2009/10 był świetny. Na tyle, że poszedłem do kościoła. Chciałem podziękować Bogu, bo wszystko układało się idealnie. Przedłużyłem kontrakt, czułem się mocny. Czułem głównie to, że wszystko jest tak, jak zaplanowałem, że mam wszystko pod kontrolą, czyli dokładnie tak, jak lubię. Wcześniej byłem bardziej religijny, w każdą niedzielę chodziłem do kościoła, często dwa razy w tygodniu. Później doszedłem do wniosku, że Bóg jest we mnie, a nie w kościele. Nie sądzę, żebym musiał słuchać tego, co mówi mi ksiądz. Siłę mam w sobie, a jak ją uwolnić, to osobna sprawa, z którą i tak każdy musi sobie poradzić sam. Wciąż jednak często się modlę, najczęściej za moją rodzinę. Wiara mi pomaga, odnajduje w niej spokój. Bóg zresztą zawsze był blisko mnie, na różne sposoby. Nigdy nie byłem ministrantem, ale w Sandomierzu graliśmy naj-

częściej na boisku przy seminarium. Zresztą w moim rodzinnym mieście trudno o miejsca nie związane z religią. Jedna trzecia miasta to tereny należące do Kościoła, więc jak mogłoby być inaczej?

W każdym razie wtedy dziękowałem Bogu za wszystko, co mnie spotykało, i zaraz potem pojechałem na zgrupowanie kadry. Byłem zmęczony, ale nawet o tym nie myślałem. Normalne życie sportowca. A że mnie się układało, to nie narzekałem, tylko patrzyłem przed siebie. Miałem plany, pomysły i wiedziałem, co mam robić, żeby je realizować. Czułem, że doszedłem naprawdę wysoko, ale to nie koniec drogi, którą sobie zaplanowałem. No i ruszyłem na mecze, które z założenia miały być jednymi z kolejnych występów. Ważnymi, ale bez przesady. Okazało się, że w w moim życiu miały jednak zmienić dosłownie wszystko. Później myślałem sobie, że może to Bóg wystawił mnie na próbę. Mówią, że nie rzuca na nikogo ciężaru, z jakim człowiek nie może sobie poradzić. I dzisiaj myślę, że pewnie coś w tym jest.

Od tamtego meczu z Chorwacją zaczęła się ta książka, bo ta chwila była bardzo ważna, może najważniejsza w mojej sportowej karierze. To nie był jakiś wyjątkowy mecz, zwykle towarzyskie

spotkanie, choć wiadomo, że z drużynami z Bałkanów walka zawsze jest ostra. Fajnie się zaczęło, czułem się świetnie, zapomniałem o zmęczeniu. Grałem w obronie, była dziesiąta minuta. Mój dziwny ruch sprawił, że Josip Valčić też zachował się nienaturalnie. Chwila, dosłownie ułamek sekundy, jego palec znalazł się w moim oku, a ja padłem na parkiet. Stało się. Uważam, że jeśli ktoś był winny tej sytuacji, to ja.

Słyszałem, że początkowo ludzie myśleli, że nie stało się nic wielkiego. Ot, kolejny uraz, jakich pełno na boisku, szczególnie tym do piłki ręcznej. Sam też przez chwilę chciałem tak myśleć. Trzymałem przy oku ręcznik, widziałem krew, ale to znowu nic tak wielkiego, żeby być jakoś szczególnie przerażonym. Piłka ręczna bywa krwawym sportem, przyzwyczailem się do tego jak każdy, kto uprawia tę dyscyplinę sportu, więc to mnie nie ruszało.

Szybko jednak uświadomiłem sobie, że sprawa jest poważniejsza, że to nie tylko zwykły boiskowy uraz i trochę krwi. Oprócz niej czułem bowiem jakąś wypływającą z oka maź, a to już z pewnością nie było normalne. Szybko pojawił się przy mnie lekarz, który poprosił, żebym odłożył ręcznik na bok, bo chciał obejrzeć ranę. Widziałem przed sobą chirurga, który zajmował się dziesiątkami przeróżnych przypadków, a jednak zrobił się

blady, gdy na mnie popatrzył. Jeśli na kimś takim mój widok zrobił wrażenie, to wiadomo, że musi być naprawdę grubo, bo tacy goście z zasady się nie dziwią. Po chwili podszedł „Lijek”, spojrzał na mnie i złapał się za głowę. No to i ja wiedziałem już na sto procent, że musi być ze mną naprawdę bardzo źle. Zabrali mnie zaraz do karetki, bo mieliśmy pojechać do szpitala. A tam mówią, że nigdzie się nie ruszą, dopóki koło hali nie pojawi się drugi ambulans, który zabezpieczy trwający przecież mecz. I wtedy nagle lekarz zaczął głośno krzyżeć, że mają się zamknąć i jechać, bo istnieje zagrożenie życia i nie ma czasu nawet na chwilę zwłoki, więc koniec dyskusji. Zbladłem po raz pierwszy tak na poważnie. „No kurwa mać, jakie zagrożenie życia?! Co tu się w ogóle dzieje?! Przecież ja grałem mecz piłki ręcznej. Taki sam, jakich wcześniej rozegrałem setki, a teraz stoję, bo mi leci krew z oka” – krzychałem w myślach. Poza tym nic mnie jakoś szczególnie nie bolało. Pewnie byłem w szoku, ale czułem się względnie dobrze, trzymałem rękę przy oku, bo kolega z przeciwnej drużyny wsadził mi tam palec, a teraz nagle słyszę, że mogę umrzeć i trzeba grzać na bombach, pełnym gazem do szpitala. Tak, z pewnością byłem wtedy w szoku.

W końcu pojechaliśmy, w szpitalu zaczęła mnie oglądać okulistka. Patrzy w gałkę oczną i mówi

coś mniej więcej w tym stylu: brak rogówki, brak spojówki i tak dalej, z siedem czy osiem różnych pozycji. Znowu zrobiło mi się słabo. „Coś tam w ogóle zostało?” – zastanawiałem się. No i zacząłem tracić przytomność z wrażenia. Ja, wielki chłop, nie mogłem ustać na nogach, wszystko wokół mnie wirowało. Dopóki trzymała mnie adrenalina i nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji, było w porządku. Ale gdy zaczęło docierać do mnie, że sytuacja jest właściwie dramatyczna, poczułem się bardzo źle. Zdecydowali, że muszę jechać do Lublina, do kliniki okulistycznej. No więc znowu powrót do karetki i jazda. Po drodze dalej traciłem przytomność i dalej nie mogłem w pełni zrozumieć wszystkiego, co się ze mną stało. Podróż minęła błyskawicznie pewnie dlatego, a przynajmniej tak mi się dzisiaj wydaje, że niewiele z niej pamiętam. Nie byłem za bardzo świadomy tego, co się ze mną dzieje. Na miejscu niezwłocznie trafiłem na stół operacyjny. Po wszystkim nie dali mi właściwie żadnej nadziei na to, że wszystko wróci do stanu sprzed wypadku. Miałem stracić lewe oko. Dziękuję, to by było na tyle, jeśli chodzi o przygodę Karola Bieleckiego z Sandomierza z piłką ręczną. Przynajmniej wszystko na to wskazywało.

Całe życie stawiałem sobie jakieś cele i do nich dążyłem, a teraz? Co mam robić? Jak właściwie mam sobie poradzić? Jak ułożyć swoje życie w nowej rzeczywistości? Nie miałem pojęcia, choć nie mogłem przestać o tym wszystkim myśleć. Leżałem jeszcze w szpitalnym łóżku w Lublinie, a reprezentacja grała drugi mecz. Patrzyłem na to, co dzieje się na boisku, już jednym okiem i nagle dotarła do mnie kolejna rzecz: to koniec Karola Bieleckiego, reprezentanta Polski w piłce ręcznej. Nie zagram już z kolegami, nie rzucę kolejnych bramek, „Bomber” nie pomoże biało-czerwonym, bo nie włoży już koszulki z orzełkiem na piersi. No i nie powalczę o kolejne medale, nie spełnię marzenia o olimpijskim podium. Zresztą brak oka wydawał mi się w ogóle końcem jakiegokolwiek aktywności sportowej. No bo jak niby mam coś robić bez oka? To zawodowy sport, ludzie osiągną szczyt sprawności, o wyniku decydują najdrobniejsze detale, więc gdzie w tym miejsce dla kogoś bez oka? Bo jego brak to na pewno nie detal, a wielki problem.

A przecież dopiero co przedłużyłem kontrakt, wszystko układało się tak idealnie, jak sobie zaplanowałem. Tak jak zawsze chciałem. Całe życie pracowałem, żeby być w takim miejscu, i tuż po tym, gdy tam dotarłem, dostałem od życia obuchem. Dopiero co za to wszystko dziękowałem,

a teraz leżę w szpitalu, po operacji, która nic a nic mi nie pomogła, a po niej usłyszałem wyrok. Dzisiaj wiem, że brak oka to... tylko brak oka, ale uwierzcie, wtedy to był wyrok.

Postanowiłem się jednak podbudować psychicznie pozytywnymi emocjami. Tak jak po kłęsce w Gdańsku i innych sytuacjach, w których coś, co nie układało się tak, jak chciałem, przekuwałem w motywację do działania. Zawsze byłem w tym dobry, ale wtedy w Lublinie kompletnie nie wiedziałem, jak niby mam się zmotywować do działania tym, że straciłem oko i już nie będę mógł robić tego, co było moją pracą przez całe dorosłe życie. Mówiłem sobie jednak, że nie będzie tak źle, że znajdę sobie inne zajęcie albo może po prostu odpocznę. Staralem się szukać pozytywów również w tym, że koniec kariery zawodowego sportowca to też koniec z rygiorem i koniec z udowadnianiem, że wciąż się nadaję i mogę być dobry w tym, co robię. Wszystko jakoś sobie tłumaczyłem, układałem, a później znowu wracałem do punktu wyjścia. Leżałem w tym szpitalnym łóżku i miałem w głowie gonitwę myśli albo zupełną pustkę. Wtedy nie bardzo dopuszczałem do siebie myśl o sportowym happy endzie. Tak na zdrowy rozsądek przecież nie było na to nadziei. Ale jednak – dzisiaj mogę się przyznać – gdzieś tam po cichu łudziłem się, że wszystko będzie dobrze.

Nie wiedziałem jak, ale przecież zawsze, w każdej sytuacji, dawałem radę. Tym bardziej że pojawiła się nadzieja na ratunek. A przynajmniej tak to sobie tłumaczyłem.

Klub z Mannheim podjął decyzję, że ściągną mnie do Niemiec. Miałem trafić do kolejnego szpitala. Zgodziłem się, wierzyłem, że zdołają mi pomóc, choć od razu wiedziałem, że przede mną kolejna operacja. Właściciel i prezes mojego klubu, Achim Niederberger, przysłał po mnie prywatny samolot. Poleciałem do Stuttgartu, a stamtąd karetką do Kliniki Uniwersyteckiej w Tybindze, gdzie miałem przejść kolejną operację.

Już na miejscu dowiedziałem się, że nie chodzi o jedną operację, a kilka lub kilkanaście zabiegów. Wszystko po to, aby jednak uratować oko. Kto był w podobnej sytuacji, wie, ile znaczy taka nadzieja. Nie dyskutowałem, poddałem się wszystkiemu, co postanowili lekarze. Wiedziałem, że jestem w dobrych rękach, i położyłem się na stole operacyjnym z myślą, że choć droga jest bardzo długa, to jednak warto być cierpliwym, bo wiem, o co walczę. Po pierwszym zabiegu przyszedł lekarz i powiedział, że kolejnych operacji już nie trzeba robić.

„Co jest, tak szybko udało się wszystko naprawić? No to rewelacja!” – pomyślałem przez moment. Ucieszyłem się, ale na krótką chwilę. Naprawdę króciutką, bo lekarz szybko pozbawił

mnie wszelkich złudzeń. Powiedział, że nie ma sensu dalej mnie operować, bo nie ma o co walczyć, tracę oko i tyle. Dodał, że trzeba usunąć gałkę oczną, a ja nie będę mógł już grać w piłkę ręczną. Znowu byłem w szoku, znowu byłem załamany, ale też wściekły i cholernie smutny. Chwilę żyłem nadzieją, która właśnie ostatecznie zniknęła. I to wszystko w ekspresowym tempie. Trochę tak, jakby jeździć rollercoasterem, ale w przyspieszonym tempie.

Chcieli mi od razu usunąć tę gałkę oczną, ale się nie zgodziłem. Chciałem stamtąd wyjść i pobiec przed siebie. Dokądkolwiek, byle daleko od tego wszystkiego. Tak żeby zostawić za sobą to, co brutalnie i błyskawicznie wywalało mój dokładnie poukładany i zaplanowany świat do góry nogami. Powiedziałem, że opuszczam szpital na własną prośbę, bo idę do domu. Zgodzili się, zresztą nie mieli wyjścia, bo nie przyjmowałem żadnych argumentów i nie chciałem dyskutować. Wróciłem do siebie. Była ze mną siostra, która do mnie przyjechała. Zawsze dobrze mieć przy sobie kogoś bliskiego, ale musiałem jednak poradzić sobie sam ze sobą. Nie miałem już żadnych złudzeń, wiedziałem, że zostanę z jednym zdrowym okiem. Nie myślałem już o piłce ręcznej, tylko o zwykłym życiu. Musiałem sobie jakoś poradzić. Zawsze sobie radziłem, teraz też nie było wyjścia.

Kolejny raz wiedziałem, że przecież nie mogę się poddać.

Byłam na tym meczu, siedziałam na trybunach. Pierwsza informacja, jaką dostaliśmy, była taka, że pękł mu oczodół. Brzmiało strasznie, od razu pojechałam do szpitala, a tam spotkałam Marka Adamczaka. Zaczął mówić, że bez oka można robić wiele rzeczy, że wszystko się utoży. Stałam i słuchałam. Jak to bez oka?! Mówili wcześniej coś o pękniętym oczodole! A on mi cały czas wymieniał sportowców, którzy sobie radzą z taką kontuzją. Stałam i nic do mnie nie docierało.

Później Karol był w Lublinie, tam dawali mu nadzieję. Zrobili operację, a ja bardzo się denerwowałam. Można było jednak tylko czekać. Z Lublina przetransportowali go do Niemiec i tam też pojechałam. Byłam zaraz po kolejnej operacji. A właściwie zaraz po tym, jak lekarz powiedział Karolowi, że oko jest nie do uratowania. Byłam z nim w pokoju, Karol przekazał mi tę informację. Pękłam, zaczęłam płakać i to on mnie pocieszał. Mówił, że wszystko będzie dobrze, ale bałam się, że się podda psychicznie i załamie. Wymyślałam więc różne możliwości, mówiłam, że może zostać ekspertem telewizyjnym, że może robić inne rzeczy. Dzisiaj myślę, że uspokajałam przede wszystkim siebie,

a nie jego. Zdecydował się jednak wrócić do sportu. I dał radę! Wiedziała, że skoro podjął decyzję, to chce wrócić na poziom, na którym był.

Joanna Bielecka, siostra Karola

Umie żartować ze swojego wypadku. Pamiętam, że mnie nim straszyl, bo wiedział, że tego nie lubię. I świetnie się przy tym bawił. A tak całkiem serio – gość ma dystans. Pamiętam, jakim problemem była reakcja na jego utratę oka i pierwsze spotkanie. Widzieliśmy się w Niemczech. Wcześniej rozmawialiśmy przez telefon. Był już w niemieckiej klinice, a ja okazałem się „miękką fają”. To on mnie pocieszał, a nie ja jego. Rozmawialiśmy po tym, gdy było już pewne, że straci oko na zawsze. Siedziałem ze łzami w oczach, a on mówił, że wszystko będzie dobrze. Strasznie mocny facet.

Sławomir Szał, bramkarz reprezentacji Polski,
przyjaciel Karola Bieleckiego

Mimo wszystko czułem spokój. W tym sensie, że zdawałem sobie sprawę z dwóch dróg do wyboru. W każdej starałem się szukać czegoś pozytywnego. Poza tym byłem wściekły. Nie zakładałem, że wrócę do sportu na tak wysokim poziomie. Przed wypadkiem miałem dużo czasu. Rozmyślałem o tym, jak wszystko dobrze się

układa, jak spełniają się wszystkie moje marzenia. Czułem się bardzo mocny. Teraz myślę, że to podejście i odczucia, jakie miałem przed stratą oka, też mi pomogły. Wiedziałem, że dam sobie radę, choćby nie wiem co się działo. Gdyby było inaczej, gdybym stracił oko w chwili, w której nie czułem się tak silny, mógłbym upaść i już się nie podnieść. Tymczasem tuż przed stratą oka wszedłem na naprawdę wysoki poziom. W Mannheim budowali bardzo mocny zespół, a ja byłem jego ważną częścią. A tu nagle „bum”, nie mam oka, przestaję być piłkarzem ręcznym, przestaję być zawodowym sportowcem. Wszystko dosłownie w jednej chwili. Bolało, bardzo bolało, nie będę opowiadał, że byłem takim twardzielem, który może coś takiego znieść na chłodno. Nie mogłem, bolało mnie to. Cierpiałem, ale mimo wszystko naprawdę byłem spokojny. Gdzieś tam wewnątrz siebie nie mogłem tego jednak tak od razu ogarnąć i pozbierać się do kupy. Nagle musiałem zacząć walczyć na polu, na którym dotąd nigdy tego nie robiłem.

Wróciłem do domu i zbierałem dowody tego, że jest naprawdę źle. Właściwie sam na nie wpałem. Nie mogłem przejść z pokoju do łazienki, żeby o coś nie zawadzić i czegoś nie przewrócić. Wyobraźcie sobie, że setki albo i tysiące razy wstajecie z kanapy w swoim domu i idziecie do łazienki.

Odruchowo, normalnie, bez zastanowienia, w zasadzie jak automat. A ja wstawałem i chciałem robić to samo. Ale widzenie świata jednym okiem znacznie się różni. Z każdym walnięciem w ścianę, kolejnym guzem albo potknięciem się o krzesło rozumiałem to coraz lepiej. I wcale mi się nie podobała ta zdobywana na nowo wiedza. Cóż, witamy w nowej rzeczywistości...

Słyszałem później od wielu ludzi, że łatwiej, gdy w takiej sytuacji widzi się w kimś winnego, bo jest do kogo mieć pretensje. Ale ja od początku nie miałem właściwie żadnych pretensji do Valćicia. Opowiadali mi, że Chorwat sam bardzo to wszystko przeżył, że też nie mógł sobie poradzić z efektami naszego przypadkowego starcia, ale nie widziałem potrzeby, żeby go pocieszać. Mimo wszystko to jednak ja nie miałem oka, nie on. Wdzieliśmy się później kilka razy, zawsze pytał, jak się czuję. Nie znaliśmy się wcześniej, wypadek też nie zbudował między nami jakiejś przyjaźni. Wiem, że było mu trudno, czytałem rozmowy z nim, ale nie zastanawiałem się nad jego uczuciami. Gramy w piłkę ręczną, a to bardzo kontaktowy sport. Zdarzają się różne rzeczy. Sam kiedyś podczas treningu złamałem koledze kości czaszki. Rzucałem i akurat trafiłem go łokciem. Czaszka mu się za-

padła i zaczęła się lać krew z dziury w głowie. Wyobrażacie sobie?! Byłem przerażony tym widokiem, ale co miałem zrobić? Stało się to w ferworze walki, przecież nie chciałem zrobić nikomu krzywdy. Chorwat, wtedy w Kielcach, też nie chciał, wiem o tym. Sławek Szał też miał połamane kości twarzy. Nosy w naszej grze łamią się często, a kiedyś się zdarzyło, że bramkarz zabił chłopaka z pola. Wyszedł z bramki, zderzyli się i wydarzyła się tragedia. Ale co możesz z tym zrobić? Nic. To część tej gry.